

## **Garota antyfaszyzmu**

Jeszcze nie ucichła hucpa wzniecona przez makabrycznego bajkopisarza J.T. Grossa, a już kolejni tropiciele myślozbrodni wskazują następne ofiary wyselekcjonowane do rytualnych mordów me(r)dialnych.

Pewna gorliwa paniusia z czerwonego ZNP w Łodzi (nie wymieniam jej nazwiska, bo po co Herostratesom robić reklamę) zażądała, ni mniej ni więcej, tylko „dyskusji” nad usunięciem z lektur szkolnych takich „antysemickich” lektur, jak „Nie-Boska komedia”, „Lalka” i „Chłopi”. Jeśli operacja „dezantysemityzacji” kanonu literatury polskiej (i nie tylko – Szekspir, na przykład, też jest do kasacji, choćby za „Kupca weneckiego”) przebiegnie sprawnie, to wkrótce lista lektur obowiązkowych będzie zapewne składała się z powieści wybitnej działaczki ZNP i „dziewczyny Szamana” (towarzysza Koby) – Wandy Wasilewskiej, no i oczywiście sekatora do przetrząsania naszych sumień, czyli „arcydzieł” Grossa. Przecież „sam” Adam Michnik już po gnioście o Jedwabnem obwieścił, że to największe wydarzenie w dziejach polskiej literatury od czasów Mickiewicza. Inicjatywę paniusi z ZNP wsparła także swoim autorytetem „sama” prof. Maria Janion pouczając gawieź, że „Nie-Boska komedia” to „arcydzieło skażone”. Ta sama Janion, która doprowadziła do żałosnej ruiny – niegdyś tak kwitnącą – polonistykę, i to w kluczowym dla naszej tradycji obszarze badań literatury romantycznej, najpierw przez lata miażdżąc ją w prokrustowym łożu marksizmu, później modniejszych odmian lewackiego bełkotu. Dość powiedzieć, że z jej seminariów wyszła między innymi panna Kazia Szczuka, a to tylko telewizyjny wierzchołek góry lodowej, którą tworzą polonistyczne katedry w kraju, opanowane dziś przez gender studies i temu podobne pseudonaukowe bzdety.

Lecz furda paniusia z ZNP, która nadgorliwie wybiegła zanadto przed szereg, czym wystraszyła niejednego szermierza postępu, gdyż lekkomyślne ukazywanie tak dalekosiężnych celów mogłoby jednak obudzić potulnych i sennych tubylców do jakiejś reakcji. Lepiej przecież rzucać się na ofiary, które można zdefiniować w języku już dobrze ograny i łatwo przyswajany przez otumanioną publikę. Szczuć na Prusa-antysemicie, który skamieniały stoi sobie grzecznie na skwerku przed Wizytkami i patrzy na nas dobrodusznie swoimi ciepłymi oczami zza binokli – to już doprawdy zbyt prymitywne, żeby nawet „głupi Słowianin” to kupił. Ale zarzucić garotę na szyję jakiegoś żyjącego „faszysty” czy nawet „nazisty” – o, ten numer wciąż jest samograjem.

Dobrze sprawdzone w tym procederze rottweilery przyniosły właśnie triumfalnie do kwatery głównej tego polowania, czyli „Gazety Wyborczej”, świeży ochłap „nazisty”, wywęszony nie gdzie indziej, jak w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a w postaci periodyku „Templum Novum”, który za czasów ministrowania Kazimierza Ujazdowskiego otrzymał dotację w wysokości „aż” 10 tysięcy zł (Dostają pieniądze i cytują nazistę, „GW” 20 II 2008). Głównym „myślozbrodniarzem” jest oczywiście redaktor naczelny „Templum Novum” – historyk i publicysta Mariusz Bechta, ale dostało się za brak czujności też ministrowi Ujazdowskiemu, pouczonemu, że nie tylko on, ale i podlegli mu urzędnicy winni mieć zawsze organ węchu niezawodnie wyczuwający „nazizm”. Mój Boże, Kazik Ujazdowski (mój wychowanek z tajnego kółka samokształceniowego i kolega z Ruchu Młodej Polski, zresztą) – taki wzorcowy przykład uśmiechniętego, przyjaznego ludziom i światu konserwatyzmu – i też prawie nazista, a przynajmniej „sponsor nazistów”! Co tu się jednak dziwić, jeśli tropicielami byli zaprawieni w takiej robocie funkcjonariusze „antyfaszystowskiej” czerezwyczajki pod nazwą „Nigdy Więcej”. Jeżeli przejrzeć (kto ciekaw) wyniki prowadzonego przez nich „monitoringu” (za czyje pieniądze, nawiasem mówiąc?), to widać, że działają oni według wypróbowanego jeszcze za tow. Jagody vel Jehudy wzorca w postaci okólnika naczelstwa: „jest w waszej obłasti, 15 tysięcy faszystów. Zlikwidować”. Nie trzeba się

chyba rozwodzić nad tym, iż fakt, że dotację w tym okresie otrzymała także neobolszewicka „Krytyka Polityczna”, nie budzi zastrzeżeń strażników politycznej poprawności.

Typowy czytelnik „GW”, czyli tubylczy troglodyta z pretensjami do bycia „yntelygętem” i „europejczykiem”, nie ma oczywiście zielonego pojęcia czym jest „Templum Novum”, ale etykieta „nazizmu” wyjaśnia mu wszystko. Od razu wie dlaczego ma się zatrzęść z oburzenia podczas tego seansu „dwóch minut nienawiści”. Nie tracąc jednak nadziei, że nie wszyscy jeszcze są tak wytresowani, spróbujemy przybliżyć pokrótce czym jest to pismo. Nie ukrywam, że jest w tym szczypta interesowności: sam bowiem zamieściłem w nim jedną rzecz, tj. szkic o metapolityce.

Jak kilka czy najwyżej kilkanaście innych tego typu periodyków o charakterze pisma idei, „Templum Novum” jest dziełem grupki bezinteresownych zapaleńców, zmagających się na co dzień z najbardziej przyziemną przeszkodą, czyli brakiem pieniędzy, lecz mimo to poświęcających swój czas i energię dla sprawy, którą kieruje wiara, że płomień idei musi być quand même podtrzymywany. Jego specyfiką jest przy tym zupełny brak ideologicznego sekciarstwa, otwartość – jeśli wolno użyć tego sprostytuowanego słowa – w tym znaczeniu, jakim jest ciekawość świata idei i chęć ich badania, nawet z ryzykiem potknięcia się o idee „zbójcekie”, co, jak widać, ma swoje skutki. Trudno jednoznacznie zaszukadkować jego profil: redaktor (Mariusz Bechta) jest „normalnym” katolikiem, dla którego przewodnikiem jest „Dominus Iesus”, zakorzenionym też mocno w tradycji polskiej (co widać także po jego pracach naukowych), lecz sprofilował pismo tak, że stało się ono autentycznym miejscem prezentacji stanowisk i dyskusji bardzo szerokiego spectrum polskiej prawicy (i nie tylko). Można na jego łamach przeczytać teksty tradycjonalistów katolickich, jak Adam Gwiazda czy Ryszard Mozgól, jak również tradycjonalistów „integralnych” spod znaku Evoli, jak Marek Rostkowski a nawet rodzimych „neopogan”, jak Barnim Regalica. Gościli tu i „postkonserwatyści” Tomasz Gabiś czy Arkadiusz Karbowski, i konserwatywny monarchista Adam Wielomski, czołowy badacz myśli narodowej prof. Bogumił Grott i penetrujący rozmaite „trzęcie drogi” Romuald Okrasa, a także najciekawszy i najbardziej zadziorni historycy czasów najnowszych: profesorowie Paweł Piotr Wiczorkiewicz i Marek Jan Chodakiewicz. Są ważne archiwalia, jak przedwcześnie zmarłego publicysty katolickiego Kazimierza Sołtysika czy Ferdynanda Goetla. Gdybym miał zaryzykować jakąś tezę uogólniającą, to rzekłbym – biorąc pod uwagę, z jednej strony, zainteresowania i sympatie samego redaktora, historyka Narodowych Sił Zbrojnych, z drugiej zaś, częstą obecność pisarzy (całkowicie przemilczanych przez establishment) związanych z nurtem piłsudczykowskim (KPN): Bohdana Urbankowskiego i Jerzego Wawrowskiego – że symboliczną ojczyzną ideową pisma jest nurt heroicznego romantyzmu politycznego, obecny w XX wieku zarówno w tradycji piłsudczykowskiej, jak w niektórych odłamach obozu narodowego, jak „Sztuka i Naród” czy „żołnierze wyklęci” z NSZ i NZW. Jest to zatem z pewnością także to, czego tak nienawidzą Gross czy Ireneusz Krzemiński: „katoendecja”. Tylko że akurat ten jej odłam, który nie musi się dziś bać, że będą mu wypadać trupy kapusiów z szafy IPN-u.

Nie przypadkiem w podtytule pisma czytamy: „Kanonada Narodowego Romantyzmu” (co starsi, jak piszący te słowa, mogą skojarzyć nie tylko z okupacyjną Konfederacją Narodu czy z KPN, ale także z ruchem literackim: Konfederacja Nowego Romantyzmu, którego animatorem był właśnie dr Urbankowski). Podkreślam ten moment „romantyczności”, bo on ma także związek z dzisiejszą „afetą” – do czego jeszcze wrócę.

Niepospolicie ciekawa jest także rozpiętość tematów poruszanych przez autorów „Templum Novum”. Można tu przeczytać erudycyjny artykuł o źródłach średniowiecznej teologii politycznej w reformach cesarza Dioklecjana i tekst o lewicowym komunitaryście Christopherze Laschu, opowiadania kołymskie Warłama Szalamowa i blok poświęcony poezji Gałczyńskiego. Stoczona została dyskusja o aktualności nacjonalizmu, w której zresztą mocniej, moim zdaniem, zabrzmiały twierdzenia o jego anachroniczności. Nie

ukrywam, że nie wszystko, co tam znalazłem, przypada mi do gustu; trudno na przykład było mi podzielić entuzjazm Manuela Ferrerasa-Tascóna dla latynoamerykańskich populistów, ale takie właśnie, naprawdę pluralistyczne, jest to pismo. Można odnieść do niego również słowa dotyczące „Stańczyka”, które padły w wywiadzie z red. Gabisiem – że jest to „przestrzeń duchowej wolności”.

Specialité de la maison „Templum Novum” są także przekłady autorów obcych – na ogół wciąż mało w Polsce znanych i też reprezentujących duży wachlarz poglądów, zarówno współczesnych, jak i przedwojennych. Czytelnicy mogli zapoznać się i ze stanowiskiem proamerykańskiego liberała Pierre’a Manenta i zacieklego wroga liberalizmu i Ameryki – „papieża” Nowej Prawicy, Alaina de Benoista; patriarchy amerykańskiego konserwatyzmu Russella Kirka i narodowego syndykalisty José Luisa Jéresa Riesco; z rzeczy dawniejszych – klasyka literatury katolickiej Giovanniego Papiniego i „prawicowego anarchisty” – Francisa Parkera Yockey’a. Lecz także – i tu dochodzimy do clou dzisiejszej „afery” – próbki tekstów charyzmatycznych postaci faszystowskiego mainstreamu lat 30. i 40. ubiegłego wieku, jak José Antonio Primo de Rivera, Maurice Bardèche czy Léon Degrelle.

Zakładam, że czytelnik tych słów może zadać sobie w tym miejscu pytanie: czy warto drukować takich autorów – i to nie tylko z powodów pragmatycznych, jako że „najlepszą częścią odwagi jest ostrożność”, jak mawiał Falstaff, i po co narażać się delatorom z „Nigdy Więcej”? Najprostszą odpowiedzią, jakiej udzieliłbym jako historyk myśli politycznej, byłoby, że warto chociażby ze względów poznawczych: dotąd, na ogół, autorów takich w Polsce można było czytać tylko w karykaturalnych opracowaniach historyków z marksistowskiej stajni. Ale oczywiście, gdybym na tym poprzestał, byłby to zwykły wykręt. Powiem zatem, że warto – a nawet trzeba – tłumaczyć i czytać autorów, nazwijmy ich tu umownie, faszystowskich, po to, aby odkłamać i zrozumieć jeden z najbardziej zmistyfikowanych fragmentów naszej historii, naszej – właśnie europejskiej – tradycji. Pierwszy a najbardziej nagminny fałsz, który trzeba odrzucić, to identyfikacja faszyzmu – jako zjawiska pewnej epoki – ze zbrodniami hitlerowskiego narodowego socjalizmu. Nicolás Gómez Dávila powiada arcytrafnie w jednym ze swoich scholiów, że nazizm jest odpowiedzialny nie tylko za swoje zbrodnie, ale za to, że „udając podobieństwo do pewnych szlachetnych tematów germańskiej medytacji, zamordował również nadzieję na nowy rozkwit Zachodu”.

Rzekłbym ja z kolei, że trzeba na nowo przeczytać – nie po to, aby z entuzjazmem, wykrzyknąć: „eureka!”, co znamionuje zawsze umysły tępe i prostacze, ale, aby zrozumieć – „nonkonformistów” z tamtej epoki: zrozumieć ich obawy i nadzieje, ich ideały i tragiczne pomyłki. Zrozumieć tę rozpacz, którą odczuwał młody Francuz, Hiszpan, Niemiec czy Polak widząc degrengoladę mieszczańskiej Europy, balującej na Titanicu w przeddzień bolszewickiej apokalipsy. Zrozumieć radykalizm tych „romantyków faszystowskich”, którzy widzieli, że tradycyjny konserwatyzm jest trupem niezdolnym do przeciwstawienia się żelaznym batalionom Trockiego czy Stalina, toteż trzeba przeciwstawić mu taką samą, i tak samo bezwzględną, żelazną pięść. Zrozumieć tych, którzy wciąż jeszcze karmieni w humanistycznych gimnazjach i liceach klasycznymi wzorcami, chcieli żyć „stylem doryckim”, woleli wznosić okrzyk „niech żyje śmierć!” i umrzeć młodo, ale bohatercko, jak Achilles, aniżeli zestarzeć się w hańbie rentierstwa, z opasłym brzuchem i wstęgą Legii Honorowej, kiedy wokół wszystko gnije i wali się świat. Zrozumieć dlaczego na przykład taki Andrzej Trzebiński patrząc na pomnik Sobieskiego mógł powtarzać sobie, że podchorążacy i Goszczyński z Nabelakiem zrobili w noc listopadową pierwszą prawdziwą rewolucję faszystowską.

Wybitny znawca faszyzmu w Polsce, prof. Andrzej Piskozub powiada, że faszyzm był „ideologią rozwścieczonego Europejczyka”. Koresponduje to z autooceną Alfreda Fabre-Luce’a, który wspominał – krytycznie – że stał się wówczas faszystą, ponieważ zmierzył postępy dekadencji Europy, którym mieszczański świat nie był w stanie zaradzić. Wielu także – od wspomnianego Piskozuba po choćby Paula Séranta – zgadza się z opinią, że faszyzm jako prąd intelektualno-polityczny Europy lat 30. był ostatnim stadium (i

„przesileniem” – jak proroczo przeczuł to Brzozowski) długiej i skomplikowanej historii romantyzmu. Maksymalizm i radykalizm, estetyczna postawa wobec życia, heroizm i pogarda śmierci – wszystko to znalazło swoje ujście w „romantyzmie faszystowskim” – z całą jego wzniosłością, ale także ze wszystkimi pomyłkami i winami.

Warto podkreślić, że wszyscy „faszyści”, jakich przedrukowywało „Templum Novum” to zarazem tacy „dziwni faszyści” – by posłużyć się formułą badacza hiszpańskiej Falangi S.G. Payne’a. Wszyscy oni bowiem (José Antonio, Bardèche, Degrelle) byli katolikami i to żarliwymi, mistycznymi – na „średniowieczny” sposób, wszystkich ożywiał duch i etos „krucjatowy”. Chcieli być rycerzami krucjaty przeciwko śmiertelnemu wrogowi Boga i człowieka – komunizmowi. Z pewnością najbardziej kontrowersyjny – i trudny do pojęcia – jest tu właśnie przypadek Degrelle’a. Na pewno nie był to ideologiczny nazista (jak pisze o nim „Wyborcza”), lecz katolik i społeczny radykał, nienawidzący plutokracji na równi z bolszewizmem. Był też Degrelle autentycznym bohaterem, który na froncie antybolszewickim wykazał się – do końca, do słynnej rajdu samolotem z Norwegii do Hiszpanii – nieprawdopodobnym męstwem i brawurą. A jednak niepodobna też zaprzeczyć, że uległ jakiemuś amokowi osobistego uwielbienia dla Hitlera, wierząc jego deklaracji, że tenże „jest Grekiem” i widząc w nim obrońcę chrześcijańskiego Zachodu, jakiegoś następcę cesarza Sacrum Imperium. Jest to zagadka psychologiczna trudna do pojęcia – i do usprawiedliwienia, ponieważ błędy duszy mogą być tylko – w razie skruchy – wybaczone, ale nigdy usprawiedliwione. Lecz trzeba też powiedzieć, wbrew kłamstwom „Wyborczej” i jej pomagierów, że redaktorzy „Templum Novum” żadnej aprobaty dla tego zbłądzenia Degrelle’a nie dają. Przeciwnie: opatrują jego tekst druzgocącym komentarzem krytycznym (Adama Wielomskiego). Oni tylko chcą zbadać i zrozumieć: to wszystko.

Powiedzmy na koniec, że Mariusz Bechta i jego koledzy podjęli godny uznania a nie opluwania trud, aby na przekór pesymizmowi kolumbijskiego reakcjonisty pokazać, że owe „szlachetne tematy medytacji” – nie tylko germańskiej – nie przepadły wskutek ich znieprawienia przez wyznawców prymitywnego kultu rasy i krwi, lecz że można na powrót nad nimi rozmyślać i w ten sposób służyć przyszłemu odrodzeniu Wielkiej Tradycji Zachodu. Natomiast gończym psom spod znaku antyfaszystowskiego gestapo możemy powiedzieć tylko jedno: wara wam od naszego dziedzictwa! Możecie sobie przetrząsać sumienia takim, jak wy, bękartom Lenina. My nad winami naszych przodków medytujemy nad ich grobami, a spowiadamy się tylko z własnych – i nie w gazetach czy w telewizorze, a w konfesjonałach.